Cena 60 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DZIESIĘCIODNIOWIEC

ROK 7 WARSZAWA — 1934 — 10 LIPCA NUMER 23

REDAGUJE KOMITET

TREŚĆ: Dr. ANTONI CZUBRYŃSKI — Biblja a „widzenie ks. Piotra". ST. ASTÉ — Wspaniała bazylika bezpodstawnego kultu. LEO BELMONT — Profesor Zieliński a... Esperanto i „proletarjat umysłowy". GÓRNIK — Celowy tupet i warcholstwo naszych przeciwników. W. W. Krucjata kleru śląskiego przeciwko ob. Baryckiej. ŚLĄZAK — Nauczycielstwo walczy o szkołę świecką. O. CORVIN — Filozofja religja i moralność w czasach włoskiego odrodzenia. Kronika. Z prasy Z książek. Głosy czytelników. Od administracji.

Biblja a „widzenie ks. Piotra"

(Adam Mickiewicz, Dziady, cz. III).

Tylu już badaczy pisało komentarze do tego zagadkowego ustępu „Dziadów" i z taką przesadną pewnością siebie, że możnaby na podstawie tych rozbiorów napisać osobne studjum o wpływie tego utworu na uczuciowość polską przed listopadem 1918 roku. Nic dziwnego, że w okresie niewoli często zwracały się umysły szukające wyjścia z tragicznego położenia Polski do owego proroctwa literackiego, które całkiem niesłusznie wielu brało za istotne proroctwo jasnowidzeniowe.

Są tacy, którzy przyjmują z uśmiechem wszelką wiadomość o nowem rozwiązaniu zagadki „Widzenia", uważając próby rozwiązania za jakieś manjactwo, sądząc, że „Widzenie" niema budowy logicznej, z czem oczywiście żadną miarą zgodzić się niepodobna. Są i tacy, którzy proponując nowe rozwiązanie, przystępują do tego z takiem namaszczeniem, jakby dokonywali odkrycia, od którego zawisły conajmniej losy narodu.

Nie należę ani do jednych ani do drugich. Studja nad biblją odsłoniły mi te stylistyczne zapożyczenia w „Widzeniu", które dotychczas uchodziły uwagi.

W „Widzeniu" mamy t r z y tematy: 1) „Cała Polska młoda", ulegająca prześladowaniu, (ściślej mówiąc: n i e c a ł a, bo w „Widzeniu" chodzi o młodzież zaboru rosyjskiego),

2) z tej młodzieży szczęśliwie ocalało dziecię, mające odegrać w przyszłości niepospolitą rolę dla swego narodu („A imię jego będzie 40 i 4"). 3) męka narodu stylizowana według męki, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Jezusa. Wreszcie mamy nawrót do tematu drugiego, do owego „dziecięcia", które już stało się Mężem [„a imię jego (bez „będzie") 40 i 4"].

Zdaje się, że ten podział dyskusji nie podlega. A więc chodzi o naród i jego wskrzesiciela, o zbiorowość i jednostkę. Zgodzi się na ten podział każdy. Tembardziej na tle tego podziału musi nas zdumiewać pewna niekonsekwencja: męka narodu i jego zmartwychwstanie dokonywa się bez udziału owego dziecięcia uszłego prześladowaniu Heroda-cara, dziecięcia, które rośnie w czasie martyrologji Polski, a występuje dopiero, kiedy już wszystko pomyślnie się skończyło zmartwychwstaniem i wniebowstąpieniem narodu. Jego rola, jakby się dopiero zaczynała z chwilą zmartwychwstania narodu.

Druga niekonsekwencja jest następująca: o ile naród, a zwłaszcza jego męka jest stylizowana na męce Jezusa, to jednostka nie powinna konsekwentnie mieć cech przejętych z Vita Iesu. A jednak werset o owej jednostce: „to dziecię uszło, rośnie" wyraźnie wskazuje na werset o ujściu dzieciątka Jezus przed prześladowaniem Heroda podczas rzezi niewiniątek betlejemskich, do których Mickiewicz przyrównywa młode pokolenie polskie. A więc Jezus odpowiadałby raz owemu uszłemu dziecięciu, a więc jednostce, drugi raz narodowi, a więc zbiorowości!

Pomijam komentarz do martyrologji narodu. Sprawa ta była już nieraz omawiana i wyświetlana i jest dość przejrzysta co do zapożyczeń biblijnych. W wersecie o żołdaku moskalu przekłówającym bok narodu i w uwadze „on jeden poprawi się i Bóg mu przebaczy" jest także nieścisłość stylizacyjna, polegająca na pomieszaniu centurjona rzymskiego przekłówającego bok Jezusa z łotrem wiszącym po prawej stronie krzyża Jezusa, któremu Jezus obiecuje raj.

Przechodzę do owego dziecięcia-męża. Nim wyjaśnię, o co chodzi, zwrócę uwagę na zapożyczenia biblijne i na niektóre niekonsekwencje.

Tytuł „namiestnik na ziemskim padole" jest stylizacją tytułu papieża „namiestnik chrystusa na ziemi". „On ślepy, lecz wiedzie go anioł pacholę", jest aluzją do młodego Tobiasza, którego przewodnikiem w podróży był archanioł Rafael, a zarazem aluzją do ślepego ojca młodego Tobiasza. Znowu pomieszanie szczegółów i przeniesienie ich z dwóch postaci (ojca i syna) na jedną (na owego „namiestnika"). Podróż Tobiasza mogła nasuwać się myślom Mickiewicza ze względu na wychodźtwo polskie, które było jakby w podróży. Szczegół ten był zupełnie dotychczas niewyjaśniony co do źródeł zapożyczenia stylizacyjnego. „Mąż straszny" nie jest zaczerpnięte z poszczególnego wersetu biblji, ale wogóle ze

sposobu ujawnienia się bóstwa, z których każde ujawnienie się, czyto jego samego, czyto nawet jego wysłanników, budziło grozę i przestrach. Tak występuje Jahwe na Synaju, tak anioł ukazujący się Gideonowi budzi w nim przerażenie (Sędziów VI 23). Przykładów takich jest mnóstwo. „Księga tajemnicza“ jest zapożyczeniem z Apokalipsy Jana V, 1.: „I widziałem w prawej ręce siedzącego na stolicy księgi napisane wewnątrz i zewnątrz...“, księga jednak znajduje się nad Mężem. Ale baldachim niebieski nad bogiem można także porównać do księgi. Wspomina Jezajasz XXXIV 4 o księdze niebios zwiniętej, to znowu u Jez XL 22 niebiosa są przyrównane do tkanki i rozpinane (Jez XLV 12, XLVIII 13). Podobnie w Apokalipsie Jana jest mowa o niebie, jako księdze zwinionej. Nadto Job IX 8 mówi o rozpościeraniu niebios. Psalm CXLV 16: „Rozpościerasz niebiosa jako oponę“. O „podnóżku“ pisze Ps CX 1, XCIX 5, CXXXII 7, a przedewszystkiem Jezajasz LXVI 1: „to mówi pan“: „Niebo stolicą moją, a ziemia podnóżkiem nóg moich“ skąd zaczerpnął A. Mickiewicz. W Nowym Zakonie spotykamy ten wyraz nadto u Mt V 35, Dz Ap VII 49, Mt XXII 44, Mk XII 36, Łk XX 43, Dz Ap II 35, Żyd. 1 13, X 13 i w Liście Jakóba II 3. Nie małą rolę odegrała także liczba t r z y. Wpływ to chrześcijańskiego trynitaryzmu[1]). Cechami narodu są: trzy wyschłe ludy, trzy twarde drzewa, trzy słońca, trzy źrenice; cechami męża: trzy oblicza, trzy stolice, trzy końce świata, trzy korony. A więc ośm razy powtarza się owa trójka, z czego cztery razy odnosi się do narodu, a cztery razy do męża. Do t r y n i t a r y s t y c z n e g o znaczenie dołączał się p o l i t y c z n y podział Polski na trzy dzielnice. „Końce świata drżą“ — aluzja do Jezajasza XL 1 5: „Widzą to pobrzeża i drżą, krańce ziemi się trwożą, gromadzą się i nadchodzą“. Nadto o owych czterech krańcach w biblji (u Mickiewicza przerobionych na trzy) wspomina Jez XI 12, XXIV 16. Psalm LXV 9. Przypowieści XXX 4. „I słyszę z nieba głosy jako gromy“ — wzięte z sceny chrztu Jezusa Mt III 13, lub przemienienia XVII 1. „Budowanie kościoła na sławie“ — odpowiada budowaniu kościoła na skale“ przez Piotra. Mt. XVI 18. „Sam bez korony“ — aluzja do Godfryda, który nie chciał nosić korony złotej tam, gdzie chrystus chodził w cierniowej (rok 1099). Tytuł jego: „lud ludów“—aluzja do tytułu narodu żydowskiego zwanego „narodem wybranym“. Analogicznie do tego „trud trudów“. Pozatem spotykamy jeszcze wyrażenia nieco podobne „na wieki wieków“.

Nim przejdziemy do wersetów najważniejszych „z matki obcej“ i imienia „40 i 4“, wyjaśniających zagadkę owego Męża, zbierzmy to, co da się powiedzieć o zapożyczeniach stylizacyjnych postaci owego Męża. Jak mozajka składa się

---

[1]) O niewątpliwym wpływie Apokalipsy, która swoją tajemniczością musiała podziałać na wyobraźnię poety — na stylizację „Widzenia“ i na powstanie liczby „40 i 4“ — mówił nie będę, gdyż uczynili to inni (np. T. Wierzbowski „Z badań nad Mickiewiczem“ W. 1916)

z poszczególnych kamyczków, tak na charakterystykę postaci męża złożył się: Jezus prześladowany przez Heroda, papież, Tobiasz i ojciec jego wiedziony przez Rafaela, Jahwe, bóg-Ojciec przemawiający z nieba podczas chrztu Jezusa i jego wniebowstąpienia, Piotr, Gotfryd.

To były cegły. A co z nich zbudowano? Jaki był plan architekta-poety jako całości?

Idea była taka: naród potrzebuje „obrońcy", „wskrzesiciela", „namiestnika (swego) na ziemskim padole", budowniczego wolności.

Postać ta wiodąca naród ma charakter wędrowny (szczegół, który wiele wyjaśnia, zaczerpnięty z Tobiasza).

Znamy taką postać. Był nią Mojżesz, prowadzący za sobą naród żydowski przez lat 40 z ziemi niewoli do ziemi wolności, mający obcą, bo przybraną matkę w córce faraona, która idąc do kąpieli odnalazła dziecię w kobiałce na Nilu. Tę czterdziestkę lat, tak charakterystyczną dla Mojżesza, sparafrazował Mickiewicz w imię „40 i 4", bo wogóle wszystkie biblijne zapożyczenia zmieniał lub parafrazował (np. centurjona z łotrem, Tobiasza z jego ojcem). Niema ani jednego wersetu biblijnego przytoczonego dosłownie. Stwarzał w ten sposób swoisty styl, który każdemu czytelnikowi przypominał coś znanego, a zarazem dawał całości charakter tajemnicy. Całość zakończył potrójnym okrzykiem: „Sława! Sława! Sława!" będącym przeróbką okrzyku adoracyjnego: „Sanctus, Sanctus, Sanctus Deus Sabaóth!" — Święty, Święty Pan Zastępów (niebieskich; pierwotnie gwiazd, potem aniołów).

Treść więc „Widzenia" w jego znaczeniu najistotniejszem jest taka: Jak przewodnik narodu żydowskiego prowadził ten naród wśród cierpień z ziemi niewoli do ziemi wolności, tak przewodnik (symboliczny) narodu polskiego poprowadzi naród polski z epoki niewoli, kiedy naród ten żył w rozsypce, na wysiedleniu do epoki wolności w Polsce. Ów naród zaimponuje swą sławą innym, jak przez tyle wieków wybrany naród żydowski. Ów przewodnik nie był zatem żadną postacią konkretną, historyczną, lecz literacko-symboliczną, podobnie jak owa „matka Wolność", jak Concordia, Iustitia, Mądrość, Industria, powojenny Nieznany Żołnierz i tyle innych postaci.

Dlatego Mickiewicz pytany, kogoby miał na myśli pod owym Mężem, nikogo nie wymieniał, bo nikogo niemiał do wymienienia, dopiero w epoce późniejszej wskazywał na Towiańskiego, którego jednak w 1832 r. nieznał. Dlatego niema podstawy traktować tego powiedzenia poważnie i właściwie żaden z historyków piśmiennictwa tak tego nie traktuje.

Widzimy z tego, jak potężną kategorją myślenia była u Mickiewicza biblja. Nawet takie powiedzenie, jak „nazywam się Milion" jest podźwiękiem wersetu „imię moje jest Legion" (Mk V 9, Mk VIII 30).

Cała ta analogja między narodem żydowskim, prowadzonym z jednego kraju do drugiego przez Mojżesza, a narodem

polskim, mającym być prowadzonym z wysiedlenia do Polski przez Męża przyszłości, którego Mickiewicz nieraz opisywał, jest właściwie chybiona: na wychodźtwie była zaledwie nieznaczna część polaków w stosunku do tej liczby, która pozostała w kraju. Analogicznej postaci do Mojżesza polski naród nie miał i mieć nie potrzebował, bo nie przesiedlał się z żadnego kraju do innego, lecz tkwił we własnym. Ale w poezji uchodzą pomysły, któreby w historji nie uchodziły. Od poezji wymaga się czego innego, niżli od nauki. (Nasze powojenne ustosunkowanie się do wizji Mickiewicza omówiłem w n-rze 1048 „Myśli Niepodległej" z 15 listopada 1930 roku).

Dr. Antoni Czubryński

Wspaniała bazylika bezpodstawnego kultu

Dnia 1 lipca 1934 r. odbyła się w Gdyni uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod Bazylikę morską, którego dokonał „biskup morski", Stanisław Okoniewski, w obecności P. Prezyd. Rzplitej i innych dostojników państwa.

Wspaniała bazylika pomysłu architekta, p. Bohdana Pniewskiego ma być wzniesiona pod wezwaniem Gwiazdy Morza, czyli Marji, matki Jezusa. Kwestję, ile to „wzniesienie" będzie kosztowało i kto na to da pieniądze — w tej chwili pomijamy.

Kult Marji, jako „Gwiazdy Morza", niema żadnej podstawy i jest tylko nieporozumieniem filologicznem. Żeby nie zostać posądzonym przez religjantów o jakąś przewrotną mistyfikację, przytaczam dosłownie wyjątek z artykułu o „święcie imienia Marji" umieszczonego dnia 11 września 1933 r. w nr. 251 klerykalnego „Kurjera Warszawskiego", pisanego przez zawodowego teologa: „Jest 67 tłumaczeń imienia Marji. Dotychczas napewno nie wiemy, co ono ma oznaczać? Mar i Yam może oznaczać morze goryczy, gorzkie morze, mistrzyni morza, kropla morska, (u Izajasza proroka). Popularne „Stella maris" (gwiazda morza) zawdzięczamy św. Hieronimowi (w. IV), choć on napisał właściwie stilla, co znaczy po łacinie zdrobniale kropelka od „stiria", kropla. A więc wyraz „stilla" (kropla) przekręcono na „stella" (gwiazda), i oto jak Marja doszła do patronatu nad

---

[1]) Niewątpliwym wpływy Apokalipsy, która swoją tatemniczością musiała podziałać na wyobraźnię poety — na stylizację „widzenia" i na podstawie liczby „40 i 4" — mówił nie będę, gdyż uczynili to inni (np. T. Wierzbowski „Z badań nad Mickiewiczem" — w r. 1916).

morzem, z którem bodaj nigdy w życiu nic wspólnego nie miała, jeśli pominąć podróż do Egiptu, w każdym razie lądową.

Kult się jednak przyjął, bo miał za sobą tradycje starsze od kultu Marji. Znana była Isis Pelagia, czyli Izyda Morska, (W. H. Roscher, Ausf. mythologisches Lexikon II B I Ab 474—490) wynalazczyni żagli, znaną Venus Marina, czyli Wenera Morska (I B, I Ab, 402). Jak od Izydy zaczerpnęła Marja tytuł „królowej niebios" (II B, I Ab 513) znany już u proroka Jeremiasza VII 18 i XL IV 17 (odnoszący się do fenickiej Astarty), a prawdopodobnie także węża i księżyc, tak również po przekręceniu wyrazu stilla na stella przejęła patronat morski Izydy i Wenery na siebie. Jako taka „gwiazda morska" przedostaje się z tym tytułem do litanji Loretańskiej z XIII wieku i do pieśni kościelnych. Teologja wypracowuje dla owego tytułu natychmiast uzasadnienie, którego odbicie znajdujemy w polskiej pieśni żeglarskiej śpiewanej dotychczas po kościołach, zaczynającej się od słów „Ty, której berła ląd i morze słucha". Marja jest tu przedstawiona jako „jedyna po bogu otucha", „kotwica niebieskich nadziei", jako opiekunka żeglarzy zagrożonych rozbiciem na morzu, którzy jednak dzięki opiece Marji ocaleli i zanoszą jej dzięki.

Taką to była droga, jaką Marja, owa spokojna, prowincjonalna kobieta palestyńska, stała się Gwiazdą Morza i otrzymała niemal w 20 wieków po swem rzekomem doczesnem bytowaniu bazylikę na dalekiej Północy.

Niechże to przyjmie do wiadomości ta część polskiej publiczności, która chce krytycznie i źródłowo spojrzeć na ten ciekawy, a filologicznie bezpodstawny kult.

Dla nas, wolnych myślicieli, cały ten pomysł bazyliki niemiał najmniejszego sensu. O kulcie Marji pisaliśmy już nieraz, jak również o rozwoju mitu Jezusowego, którego wyjaśnienie od ćwierćwieku bardzo się naprzód posunęło, o czem jednak w Polsce prawie jeszcze nic niewiadomo poza szczupłą garstką krytycznych wolnych myślicieli.

Jeżeli już było wystawiać coś oryginalnego na Kamiennej Górze w Gdyni, to najbardziej nadawał się budynek, w którym pokolenia uwieczniałyby posągami lub popiersiami znakowitych mężów zasłużonych w rozwoju polskiej żeglugi morskiej.

Ale do takiej symboliki pokolenie dzisiejsze, myślące kategorjami religijnemi, których dziejów rozwoju nie rozumie — jeszcze nie dorosło. Może jednak dorosną wieki i pokolenia przyszłe, bo pamiętajmy o przysłowiu łacińskiem, którego drugą połowę pozwolę sobie po swojemu sparafrazować: „Tempora mutantur et in illis opiniones generationum progredientium" — „Czasy się zmieniają, a w nich mniemania pokoleń kroczących naprzód".

St. Asté

Profesor Tadeusz Zieliński a... Esperanto i „proletarjat umysłowy“

Jednem z bolesnych signa temporis naszego gnijącego czasu jest polityczno-moralna dekadencja znakomitego uczonego, hellenisty i romanisty, prof. Zielińskiego.

Ten upadek postrzega postępowa prasa obecnie, kiedy nasza gwiazda akademicka wystąpiła naprzeciw gwieździe wskrzeszającego stosy średniowieczne dla dzieł myśli ludzkiej, ministra hitlerowskich Niemiec, p. Goebbelsa — z powitalnym hołdem na niebie Polski.

Byli jednakże tacy, którzy rysę pęknięcia na tym szlachetnym marmurze greckim spostrzegli wcześniej, lecz przemilczeli o niej z ubolewaniem, nie chcąc zawstydzić publicznie znakomitego uczonego, gdyż woleli zawstydzać się sami i wstyd swój schowali do kieszeni. Byli to esperantyści. Nie chcieli oni z potężnych lapsusów, popełnionych przez prof. Zielińskiego w jego pochodzie przeciw językowi Esperanto uczynić sprawy głośnej, spokojni o to, że genjalny wynalazek Zamenhofa nie ucierpi na czci i nie znajdzie tamy w swoim zwycięskim pochodzie spowodu dziwactw znakomitego łacinisty.

A jednak dwa odnośne wystąpienia prof. Zielińskiego — jedno z przed blisko dwóch lat na terenie Tow. Dziennikarzy i Literatów, gdzie oklaskiwała go, jako promotora wskrzeszenia łaciny w charakterze języka międzynarodowego, grupka przygodnych amatorów tracenia naprózno czasu, oraz przed paru miesiącami przed aparatem radjowym, dzięki temu, że Zarząd Radja nieraz gorliwie przysługuje się zaciemnieniu i uwstecznieniu naszej opinji publicznej. Były to dwie wielkie kompromitacje.

Nie o to wcale chodziło, że prof. Zieliński podjął, zresztą z namowy jakiegoś belfra łaciny, akcję na rzecz obkuwania w szkołach we wzmożonych porcjach niewątpliwie wspaniałego języka Rzymu — języka, który przecie zakończył w dalekiej przeszłości swój wspaniały pochód dziejowy, bo jakież to dziwactwa nie mogą się imać profesorów, odgrodzonych ścianami swego gabinetu od wielkiej areny życia i potrzeb ludzkich mas? Ani też o to chodzi, że prof. Zieliński występował ukośnie—(bo nalegał „politycznie“ na to, iż powoduje nim tylko miłość do łaciny, a wcale nie zamierza robić konkurencji językom sztucznym) — przeciw językowi Esperanto; boć nikt nie jest obowiązany hołdować idei języka sztucznego wogóle, a specjalnie jego formie esperanckiej.

Chodzi jeno o to, że w obu swoich przemówieniach zdradził on nietylko zadziwiającą, jak na uczonego, naiwność i ciasnotę myśli, ale już całkiem niegodną człowieka

nauki metodę dowodzenia i... niesumienności. Profesor Zieliński bowiem sam przyznał się z katedry radjowej, że nie zna Esperanta, ani tej jego przeróbki, do której jakoby zachęcał go w nieprawdopodobnie fantastycznym liście jakiś zwolennik „Ida“, rzekomo pouczający go, że „Ido“ jest bardzo podobny do polskiego, czem profesor „nie dał się wzruszyć“, „chociaż jest polakiem“, gdyż „przełożył łacinę, jako język kleru katolickiego“. Mógł się był jednak profesor nie przyznąwać do tej swojej nieznajomości, gdyż każdy z esperantystów, wsłuchując się w jego dowodzenia, iż esperanto nie posiada pewnych form czasownika, podczas gdy posiada on wszystkie, oraz że są w nim takie braki, jakich w nim niema — podziwiał jeno ignorancję profesora, ważącego się krytykować to, czego wyraźnie nie zna.

Dziwiliśmy się także, iż profesor Zieliński uległ mniemaniu, iż na terenie Tow Literatów i Dziennikarzy zainicjował jakiś wielki nowożytny ruch, który z Polski rozejdzie się szeroko i ogarnie cały świat — latynizację jezyka uczonych, mającą posłużyć ku następnej latynizacji ludów mową powszechną, a nie zdawał sobie sprawy z tego, że wstępuje na szlak już przeżyty przez ludzkość, wsteczny, zarzucony nieodwołalnie przez rozum narodów nowożytnych, boć i przecież łacina była już ongi w średniowieczu i na wstępie historji nowożytnej językiem uczonych i ustąpiła swego stanowiska językom żywym. Dziwiliśmy się też i temu, że znakomite doświadczenia szkół systemu ministra rosyjskiego Tołstoja, zagważdżającego umysły dzieci polskich studjami nad gramatycznemi nieprawidłowościami języka łacińskiego, wespół z greczyzną, których wynikiem było jeno to, że uczniowie po ośmioletnich studjach wychodzili ze szkół, nie nabierając nigdy umiejętności rozmawiania po łacinie, a zapominając rychło nawet rozumienia tekstów, czytanych przez całe lata — że te doświadczenia nie pouczyły prof. Zielińskiego o praktycznej bezcelowości jego zabiegów tam, gdzie chodzi o umożliwienie masom porozumienia się językiem żywym i łatwym do nauczenia się.

Mógłby też prof. Zieliński, zabierając głos na obce mu tematy, wiedzieć przynajmniej tyle, że posiadający ogromne filologiczne wykształcenie Antoni Grabowski wynalazł swego czasu system uproszczonej łaciny: „Nov-latin“ dla celów międzynarodowego języka, zamim nie zarzucił własnego dzieła ostatecznie, poznawszy Esperanto (zresztą w słownictwie oparte na podstawach przeważnie romańskich), i przekonawszy się, że sztuczny język Zamenhofa swoją doskonałością, logiką, dźwięcznością i t. d. przechodzi najświetniejsze próby uproszczenia łaciny i posiada więcej życia w sobie, niż jego „Nov-latin“, co w rezultacie dowrowadziło Grabowskiego do zajęcia pierwszego miejsca na Parnasie esperanckim i przełożenia na ten język w sposób zaiste cudowny — pod względem ścisłości i piękna — mickiewiczowskiego „Pana Tadeusza“.

Ale prawda! — prof. Zieliński zastrzegł się, że właśnie walczy w obronie „trudności“ (ba! zasada arystokratyczna) i że wcale nie imponuje mu „łatwość“ esperanta, gdyż... on, prof. Zieliński, myśląc o mowie międzynarodowej powszechnej, ma na widoku... potrzeby tych szczytów, które „poszukują trudności“, a nie „łatwej tandety“. Można było tylko wzruszyć ramionami i szczerze uśmiać się z takiego stawiania na głowie problematu ułatwienia stosunków pomiędzy narodami świata przez dostępny dla nich łatwiejszy, a celowo obmyślony język sztuczny, na podstawach głębokiego wniknięcia naukowego w zasady organicznych języków, oraz zgóry przewidzieć, że chodzi tu tylko o „pucz“, który spotka się na jeden dzień z poklaskiem „Kur. Warszawskiego“ — i nic więcej. W istocie, jakkolwiek na owem zgromadzeniu garstki wielbicieli poronionych pomysłów belferskich, rozdętych sztuką klasycyzmu p. Zielińskiego, uroczyście wybrano „Komisję upowszechnienia łaciny, jako języka międzynarodowego“, to cała działalność tej komisji ograniczyła się do tego, że p. Zieliński powtórzył tylko w rok później swoją improwizację na ten temat przez radjo — poczem znowu nastało, jak należy, przyzwoite milczenie, trwające już wiele miesięcy. Z fajerwerku pozostał jeno dym.

Wszystko to miało być tylko czemś zabawnem i godnem przemilczenia ze strony esperantystów. Ale zdarzyły się przytem rzeczy znamienne — właśnie owe rysy pęknięcia na marmurowej urnie uczoności profesora, zapowiadające jego obecne rzucenie się w objęcia pogromcy nauki i kultury, p. Goebbelsa. Oto w swojem przemówieniu przez radjo nasz akademik — bo właśnie wówczas świeżo zyskał palmy akademickie — nawiązując treść swojej obrony martwego języka, przeciw żywym sztucznym, do uwagi „Robotnika“, iż „esperanto jest przyszłym językiem międzynarodowym proletarjatu wszystkich krajów“, wyrzekł co następuje: „Co do mnie, to nie wiem, co to jest „proletarjat“ — nie uznaję tego wyrazu — jest to tylko słówko agitacyjne... chyba, że chodzi o proletarjat... umysłowy. Tak jest, esperanto jest językiem tylko dla proletarjatu umysłowego, dla ludzi ubogich duchem“...

Niewiadomo, co tu więcej podziwiać? Czy to, że klasyk-profesor nie chce znać słowa „proletarjat“, mającego źródło swoje właśnie w łacinie klerykalnej — i związane z walkami socjalnemi pomiędzy posiadającymi i wyzutymi w starożytnym Rzymie? Czy też należy zdumieć się z powodu tego przebywania na arystokratycznym tarasie wielkiego ducha, nie chcącego zniżać się do potrzeb ubogich i maluczkich? Czy może najbardziej należało zdziwić się, że ten bojownik ideału — zgalwanizowania mowy martwej rzekomo dla potrzeb życia — nie raczy wiedzieć wcale o tem, że za esperantem opowiedziało się wiele duchów, wysokością umysłu bynajmniej nie ustępujących prof. Zielińskiemu, że są pomiędzy nimi tacy, którzy wcale nie lękają się „trudności“: imiona

ich błyszczą w nauce; posiadają oni też znajomość mnóstwa języków europejskich, a to wcale nie przeszkodziło im uznać wartości praktycznej i teoretycznego genjuszu w Esperancie? Byłoby zbędnem wyliczanie na tem miejscu tych świetnych imion, w których szeregu znajdzie się i znakomity socjolog, Couturat, i uczony europejskiej sławy, Richet, i członek Instytutu francuskiego, gen. Sèbert, i rektor akademji w Dijon, Boirac, i matematyk Bourlet... Szereg tych świetnych imion jest zbyt długi, aby je wymieniać.

Tutaj wystarczy nazwanie tylko jednego: znakomitego lingwisty polskiego Baudouin'a de Courtenay, który — mając zresztą za sobą proroczą zapowiedź w Oxfordzkich wykładach wielkiego lingwisty, Maksa Müllera — poświęcił całą książkę obronie idei sztucznego języka, a specjalnie oddał hołd językowi Esperanto. Tedy okazuje się, że nasz świeży akademik leciutkiem poruszeniem palca przed radjowym aparatem strącił prof. Courtenay'a na dno... „proletarjatu umysłowego"!

Nie zamierzamy ubliżyć w najmniejszej mierze wielkiemu językowi Owidjusza, Horacego, Cycerona, Lukrecjusza — wcale nie stajemy na przeszkodzie tym, którzy znajdą czas, zdolności, możność nauczenia się łaciny tak, iżby mogli studjować w oryginale dzieła Wirgila, Tacyta, Juwenala i innych mistrzów starożytnej literatury rzymskiej. Chodzi nam więc tylko o to, czy podrzucanie łaciny, jako języka międzynarodowego w dzisiejszej epoce i ukośny napad na twór genjalnej myśli Zamenhofa, pomyślnie rozwiązującego wielkie zagadnienie, postawione już przez Leibnitza, Woltera, Ampère'a — czy to są ruchy umysłu, który pragnie popchnąć świat naprzód, czy takiego, który w dziwnem zaślepieniu próbuje go cofnąć wstecz?

Chodzi nam jeszcze o jedno: o metodę dowodzenia, jakiej używa człowiek uczony, akademik, usiłujący u nas przez radjo oświecać tłumy. Bo przecież ten arystokrata ducha, przebywający na wysokich tarasach klasycyzmu, raczył zniżyć się do maluczkich i ubogich duchem, skwapliwie chwytających jego słowa przez radjo, przy którego słuchawkach nie spędzają napewno godzin sami arystokraci ducha, poszukujący tylko „trudności", jak prof. Zieliński.

Otóż metoda dowodzenia, która wywołała rumieniec wstydu na twarzach niektórych słuchaczy, (należących może podług opinji prof. Zielińskiego do „proletarjatu umysłowego", jako zwolenników esperanta) — była następująca:

„Nigdy słowa łaciny — języka, którym mówili p a n o w i e świata, Rzymianie — nie mogą w przekładzie na polski język brzmieć tak mocno, jak w oryginale. Jakże słabem jest to brzmienie polskie: „Biada zwyciężonym" wobec potęgi dźwięku oryginalnego: „Vae victis!" „Biada" — to jest wcale co innego — „Vae victis" — to brzmi władnie, prawdziwie p o p a ń s k u."

Tak kończył się ów referat o łacinie, nadany przez radjo; taką była argumentacja tego wroga „tandety“, zachwalającego nam łacinę, jako „język pański“.

A przecież prof. Zieliński zapomniał o tem, jak mocno grzmi wyraz polski: „Biada“ przy właściwej deklamacji wiersza Mickiewiczowskiego w „Konradzie Wallenrodzie“. Zapomniał nadto w dziwnym ferworze, nakazującym nam wzorować się na „władcach świata“, że „V a e v i c t i s!“ w pamięci dziejowej po raz pierwszy padło właśnie z ust barbarzyńcy Brennusa, oznajmiającego zgubę i hańbę... pańskim i władczym rzymianom.

Nam, co słuchaliśmy tych „naukowych“ dowodzeń z wielkiem zdumieniem, gdyż nie oczekiwaliśmy „tandety“ — przypomniał się sposób dowodzenia jakiegoś zadzierżystego wielkorusa, tłumaczącego „niemczykowi“ wyższość „zwycięskiego“ języka rosyjskiego nad niemieckim:

— Jak u was człowiek?

— M e n s c h.

— Phie,... co to jest mensz? Mensz, mensz — to nic. Słabizna. U nas „cze - ła - wiek!“ To grzmi gromko — słyszy pan?.. A jak u was: „chory“?

— K r a n k.

— Hm, to ujdzie jeszcze; k r a n k, k r a n k. Ale jak po waszemu: „zdrów“?

— Gesund.

— Ha! ha!.. to niemożliwe! U nas: z d a - a - r o w! Słyszy Pan? Zaraz widać, że człowiek jest z d a - a - a - r o w: Ale wasze „ksund“, „ksund“ — to zawsze jeszcze chory, k r a n k!

Odłożyliśmy wówczas słuchawkę. Zawstydzeni tem, że wielki uczony, profesor, dla uciechy właśnie „proletarjatu umysłowego“ lub poprostu: głuptasów — może posługiwać się pod osłoną palm akademickich, takiemi dziecinnemi metodami rozumowania. Zmilczelismy, powiedziawszy sobie po cichu, że wypowiedziane umyślnie przez profesora blado: „Biada“, nie jest gromem przeciw esperantu. Nie jest ono niem i dziś. Ale zgadywaliśmy już wtedy, że może ono zczasem zagrzmieć mocno we właściwych ustach, gdy wypadnie skierować je przeciw... naszemu intelektualizmowi, nawet strojnemu w palmy akademickie.

Dziś wypada nam przerwać wstydliwe milczenie, gdy stało się tak, iż naszemu akademikowi zabrzmiało słodko w uszach z ust Goebbelsa: „Heil Hitler!“ — albo raczej, gdy wydało mu się to germańskie brzmienie tak samo potężnem, jak rzymskie: „Vae victis“, i nasz łacinnik skłonił łaskawie ucho w stronę... ex-pogromców jego Rzymu, powracających z marzeniami o triumfie w ostepy lasów teutoburskich — a nawiasem mówiąc z mieczem w zanadrzu przeciw łacinnikom i narodom - zwolennikom łacińskiego kościoła.

Jakże niekonsekwentnymi bywają akademicy!

Ach! dlaczego ludzie zmieniają barwy nie gorzej, niż... kameleony?..

Żal nam prof. Zielińskiego. Wolelibyśmy go widzieć nadal na wyżynie... Ale on woli... spadać.

De gustibus non est disputandum!..

Leo Belmont

Celowy tupet i warcholstwo naszych okupantów

Zwycięski na wschodzie Europy komunizm a w środku i na południu naszego kontynentu faszyzm, obydwa bezkompromisowe kierunki polityczne mogą posłużyć za dowód, że w dzisiejszej sytuacji ten tylko realizuje swoje dążenia, kto jest śmiały, wie, czego chce, jest zdecydowany na walkę i przez to zwycięża. Metody te stosował zawsze kler, zwłaszcza katolicki. Lwa i węża, symbol chytrości, zalecił mu naśladować apostoł. Kler jest wężem, bo przy ogniu różnych gatunków faszyzmu chce upiec swoją pieczeń, jest swoistym gatunkiem lwa, ponieważ w stosunku do przeciwnika pokaże zawsze kły i pazury, a gdyby mógł — rozszarpywałby swoje ofiary.

W ostatnich czasach obserwować da się wzmożenie fali coraz to nowych zaciekłych ataków kleru na wszystkie czynniki postępu w Polsce, bez przebierania w metodach i środkach walki. Biskupi potępiają projekt nowego prawa małżeńskiego, opracowany przez państwową komisję kodyfikacyjną, insynuując jej wzorowanie się na bolszewiźmie, kardynał Hlond przeciwstawia się ugruntowaniu znaczenia państwa w masach społecznych, kardynał Kakowski wskazuje palcem na ob. Dawida Jabłońskiego, jako jednostkę szkodliwą dla zgodnego współżycia polaków i żydów. O martyrologji nauczycielstwa polskiego czyż trzeba znowu przypominać? Częściowo zadość temu uczyniła książka p. Janiny Baryckiej p. t. „Stosunek kleru do oświaty i państwa". Książka rzeczowa, spokojna, stanowiąc zbiór niczyich innych, tylko księżych i biskupich pism, skarg, donosów i t. p. Kler został tutaj własną bronią, bo własnemi słowami pobity, ujrzał się w krzywem zwierciadle. Książka ta spełniła rolę podobną do włożenia kija w mrowisko. Zasyczała prawowierna prasa, zakotłowało się na plebanjach, wezwano bigotów, tercjarki, bractwa, ligi.

Najsilniej fala ta wezbrała na Śląsku.

Biskup Adamski wydał przeciwko autorce list pasterki, nawołując do krucjaty przeciwko niej. Prawie każdego dnia odbywają się tu wiece protestancyjne. Oto, co pisze o jednym z takich wieców „Siedem groszy" w n-rze 174 z dnia 27

czerwca 1934 r. Liczba uczestników wiecu: 1500. Cel wiecu: protest przeciwko szerzeniu się na Śląsku bezbożnictwa, popieranemu przez nauczycielstwo, zrzeszone w Zw. N. P. Przemawiali: poseł Sikora, dyr. Grzędziel i inni. Uchwały: Książka p. Baryckiej-Zajchowskiej, kierowniczki szkoły w Królewskiej Hucie, zieje nienawiścią do kościoła, wnosi niezgodę między kościół, szkołę polską a państwo i może spowodować przepaść między społeczeństwem a szkołą(?!). „Książkę tę potępiamy", (czyli potępiamy sami siebie). Następuje protest przeciw pozostawaniu p. Zajchowskiej na stanowisku kierowniczki, autorki „paszkwilu antyreligijnego". Po tym wstępie następują najciekawsze ustępy: „Władzom oświadczamy, że nie poślemy naszych dzieci do szkół, w których uczy p. Zajchowska. „Na żadne kompromisy nie pójdziemy, a dzieci w ręce masońsko-ogniskowych nauczycieli nie damy". „Napisy i pieczątki szkół muszą zostać katolickie" (To znaczy wewnątrz otoku zamiast orła powinny być umieszczane krzyże lub postacie patronów, czy też tjara papieska, a językiem urzędowym powinna być łacina?).

„Żądamy usunięcia z wyższych stanowisk w szkolnictwie urzędników, będących zdecydowanemi wrogami kościoła". Jest to atak na kuratora, ściślej, naczelnika wydziału oświecenia województwa Śląska, d-ra Tadeusza Kupczyńskiego, zasłużonego historyka i pracownika oświatowego, który niedawno dopiero objął pełnienie swych obowiązków, zatem nie mógł się w niczem narazić monarchji katolickiej w Polsce, a jednak watykańczycy już zwęszyli niezależność jego myślenia, głęboką wiedzę i stawianie wyżej interesów państwa, szkoły i dziecka polskiego, niż interesy Watykanu, plebanji i księżej gospodyni, i domagają się jego usunięcia.

W roku ubiegłym Ministerstwo Oświecenia Publicznego z wielkim nakładem pracy podległych sobie urzędników i nauczycielstwa wprowadziło nowe programy, przepojone „wyrobieniem religijnem" ale i patrjotyzmem. Liczba godzin religji została ujednostajniona dla całego państwa, a mianowicie dwóch tygodniowo.

A jednak rozporządzenie najwyższej władzy szkolnej spotkało się z potępieniem zgromadzonych na wiecu katolików. Oto dowód: „Potępiamy wszelkie dążenia zmniejszania ilości godzin nauki religji". Na wiecu byli przedstawiciele magistratu, rady miejskiej, proboszczowie, a więc elita społeczna, której o nieświadomość prawną czy błędy redakcyjne posądzić nie można, a zatem kler śląski i jego słudzy, uzurpują sobie prawo nietylko opinjowania, ale i publicznego potępienia rozporządzenia władz Rzeczypospolitej bez względu na brzmienie 127 art. kod. kar. i innych. A jeszcze ciekawsze, że gazety bez żadnych przeszkód uchwały te publikują.

Oprócz tej „lojalnej" dla państwa uchwały kler manifestuje przeciwko zarządzeniu władz, normującemu udział dziatwy szkolnej w organizacjach. Według tego zarządzenia dzieci mogą należeć tylko do tych organizacyj, które są wymienione w „Dziennikach urzędowych" władz. Wiecownicy oświadczają: „jako rodzice, pierwsze i główne prawo (co za polszczyzna!) dzieci nasze mimo wszelkich szykan będą nadal należały do organizacyj kościelnych" [1]).

A więc kler wie, czego chce, wie, jakiemi środkami bez skrupułów dochodzić do celu i dlatego zwycięża, gdyż nie daruje i nie przepuści żadnej okazji, aby steroryzować przeciwnika, insynuować patrjotom antyspołeczność lub antypaństwowość, poruszyć wbrew istotnym interesom państwa i narodu, jak na Śląsku, ciemne masy, stwarzając pozory siły i sugeruje czynniki miarodajne o jej posiadaniu. Przeciwnie, postępowa inteligencja polska, przeważnie daleka od przesądów średniowiecza, prawdę swoją zostawia dla siebie, ze względów taktycznych boi się jej ujawnić, aby tylko nie drażnić bezczelności kleru, a wobec tego nic dziwnego, że przegrywa i przegrywać będzie dopóty, dopóki pogłębianie się świadomości klasowo-społecznej wśród proletarjatu i chłopstwa nie wyłoni świeżej, nowej i zdecydowanej, przekonanej o swojej słuszności siły, zdolnej do zmiażdżenia zmurszałych „okopów sw. Trójcy", a więc zażywnych i korpulentnych ciałem, nie duchem, pp. plebanów.

Co się wtedy stanie z inteligencją? Czy się nie zapytają jej, gdzie była w swej masie, gdy ofiarniejsze i odważne z pośród niej jednostki z zaparciem samych siebie szły ciernistą drogą wysiłku i walczyły w pojedynkę z przemożnym wrogiem, jak ob. Zajchowska-Barycka?

Jakże zereaguje Związek Naucz. Polsk., Liga Obr. Praw Człowieka i Obywatela i inne organizacje na wybryki kleru wobec ob. Zajchowskiej?

Czy mogą milczeć?

A jak zareagują władze wobec publicznego potępienia ich zarządzeń przez kler?

Czekamy pilnie.

Górnik

---

[1]) Wszystkie te antypaństwowe uchwały powinny się znaleźć w nowem wydaniu pracy p. Janiny Baryckiej. *Red.*

...Stare społeczeństwo czuje się ze wszech miar zaatakowanem. Jeżeli mu na czem nie zbywa, to pewno ani na prokuratorach, ani na żandarmach. Sił brutalnych na swoje usługi ma ono więcej, niż miało państwo rzymskie... Czego mu brakuje, to zasad moralnych, przekonań, idei. *Adam Mickiewicz*

Krucjata kleru śląskiego przeciwko ob. Baryckiej

Kler śląski, najbardziej zuchwały i najbardziej drapieżny z pośród kleru okupacyjnego wszystkich dzielnic Polski, wszczął ub. miesiąca ostrą wiecową akcję za usunięciem ze Śląska ob. Janiny Baryckiej-Zajchowskiej, autorki znanej książki p. t. „Stosunek kleru do państwa i oświaty", kierowniczki jednej ze szkół na Śląsku. Zmobilizował więc przy pomocy ambon i prasy wszystkie dewotki i dewotów śląskich, różne bractwa i sodalicje, akcję katolicką, która niby nie ma uprawiać polityki, stow. młodzieży polskiej i t. d. i poszedł na krucjatę przeciwko postępowemu nauczycielstwu, do której nawołuje zaplutemi od niepoczytalnej pasji i pełnemi „chrześcijańskiego" jadu odezwami, grożącemi wyraźnie państwu swoją katolicko-watykańską pomstą. I jeszcze ma czelność stwierdzić, że jeżeli dojdzie na Śląsku do ekscesów i rozruchów — to władze będą temu winne, a nie kler. Oto jest „lojalność" i „patrjotyzm" tych panów.

Akcja ma za zadanie usunięcia ze Śląska nietylko ob. Baryckiej, ale i wszystkich państwowych i postępowych jednostek w szkolnictwie śląskiem, poczynając od naczelnika wydziału szkolnego w Katowicach, d-ra Tad. Kupczyńskiego.

Na dowód jakto w treści i w formie wygląda — dajemy poniżej jedną z takich krucjatowych odezw, zamieszczoną w nr. 24 „Gościa niedzielnego" z dn. 17.VI:

KATOLICKI LUDU ŚLĄSKI!

Twoja szkoła katolicka zagrożona!

Od chwili połączenia się Śląska z Macierzą Polską prowadzono bezustannie ze strony sfer „ogniskowych" walkę przeciwko kościołowi katolickiemu, obrażano uczucia religijne społeczeństwa katolickiego na Śląsku, prowadzono systematyczną walkę ze wszystkiem, co ma związek z religją katolicką, zamieniano pozdrowienie katolickie w szkole na inne, zamieniano napisy na szkołach katolickich, prowadzono walkę z wymiarem godzin nauki religji, atakowano duchowieństwo itd. itd., a nauczycieli-kolegów, którzy się robocie tej nie tylko antykościelnej, ale temsamem i antypaństwowej na Śląsku sprzeciwiali, którzy utrzymywali poprawne stosunki z kościołem i z duchowieństwem, którzy pracowali w katolickich związkach, szczególnie w SMP, tych wszystkich szpiegowano, denuncjowano, szykanowano w ohydny sposób, w sposób iście masońsko-ogniskowy. Walkę prowadzono zręcznie, niezawsze honorowo, najczęściej z ukrycia, tak, że każdy odczuł skutki tej walki podjazdowej, ale nieprzyjaciela nie mógł uchwycić, by się z nim rozprawić.

Tchórzowskie praktyki sfer masońsko - ogniskowych

Teraz sfery masońsko - „ogniskowe“ uznały widocznie, że można w całej zgóry obmyślonej metodzie posunąć się o krok naprzód, że można już wystąpić do otwartej walki, by społeczeństwo katolickie rozbić. Za chwilę odpowiednią, która miała wykazać siłę ich na Śląsku, uznano uroczystości bierzmowania i wizytacji biskupiej w dekanacie mikołowskim. Postanowili oni nie uznać autorytetu biskupa, jako swego wizytatora nauki religji i dać temu publiczny wyraz. Nauczyciele dekanatu mikołowskiego otrzymali nakaz ustny, że nie wolno im przeprowadzić lekcji nauki religji w kościele przed ks. biskupem, jak to dotychczas było zwyczajem, i otrzymali kategoryczne wezwanie do piśmiennego oświadczenia, że lekcji nie przeprowadzą. Gdy nauczycielstwo domagało się takiego nakazu na piśmie, ponieważ mieli sami dać piśmienne zobowiązanie, żądaniu temu odmówiono. Widocznie ci, co nakaz ten wydali, chcieli tylko „na gębę“, bez śladu tak wykrętnego postępowania — steroryzować podległe im nauczycielswo, a nazewnątrz pozostać „w porządku“. To tchórzostwo!

Taksamo otrzymało nauczycielstwo dekanatu mikołowskiego zakaz ustny zjawienia się na konferencję z ks. biskupem. To także tchórzostwo!

Dzisiaj na biskupa — jutro na Chrystusa

Dziatwy szkolnej nie zwolniono od nauki w dniu tym uroczystym oficjalnego odwiedzenia parafji przez biskupa, co się sprzeciwia dotychczas prawnie nie zniesionemu rozporządzeniu wydziału oświecenia publicznego z 20 lutego 1924 r. (Dz. Urz. W. O. P. 1924 str. 161). Przeciwnie, musiała dziatwa po kościelnej uroczystości przywitania ks. biskupa wrócić do szkoły na dalszą naukę.

Któż to w Wyrach, w Łaziskach Górnych i gdzieindziej podkopuje i czyją powagę?

Interwencja u p. dra Kupczyńskiego, naczelnika wydz. ośw. publ., nie odniosła żadnego skutku. Pan naczelnik oświadczył, że zwyczaju takiej wizytacji „nie zna“. Zanim p. dr. Kupczyński rozpoczął swe urzędowanie na wysokiem stanowisku w województwie śląskiem, powinien był przedtem poznać przynajmniej niektóre zwyczaje na Śląsku — przedewszystkiem zaś istniejące na terenie szkolnym.

Ukryte cele bezbożników i wolnomyślicieli „ogniskowych” stają się coraz bardziej jasne: najpierw usunięto ze szkoły proboszcza, teraz próbuje się usunąć biskupa, a jeżeli i to społeczeństwo katolickie przyjmie bez sprzeciwu, bez zajęcia odpowiedniego stanowiska, to wkrótce usunie się ze szkoły — także i Chrystusa.

„Ogniskowcy“ podkopują powagę duchowieństwa! Jakiem więc prawem wymaga poszanowania dla swej godności ten, kto nie umie uszanować cudzej wyższej godności i urzędowego autorytetu arcypasterza.

Gdy istniała wielka obawa, że znaczna część dzieci będzie — podczas ostatnich zapisów szkolnych — zgłaszana do szkoły niemieckiej, wówczas ze wszystkich stron — od samej góry do samych do-

łów, wołano do księży o pomoc, o propagandę na rzecz szkoły polskiej. I księża śląscy, nawet bez tego wołania, obowiązek swój spełnili, uświadamiając ludność, że polskiego dziecka miejsce jest w polskiej szkole. Kilka tygodni zaledwie upłynęło od tego „wołania na trwogę“!

„Odwdzięczając“ się teraz za tę pomoc robi się afront najwyższemu w djecezji przedstawicielowi kościoła i duchowieństwa, bo niebezpieczeństwo minęło, o wszystkiem się zapomniało i huzia na kościół!

Fakta, które dobitnie mówią

Podziemną i podjazdową tą polityką „Ogniskowcy“ potrafili opanować wydział oświecenia publ. i wszelkie wyższe, ważniejsze, a przedewszystkiem intratniejsze posady, tak, że teraz decydujący wywierają wpływ na politykę szkolną w województwie naszem. Tem się tłómaczy:

1. że p. Barycka - Zajchowska ma, wzgl. miała wgląd w akta urzędowe wydziału ośw. publ. — sama albo przez swych informatorów i z aktów tych czerpała materjał do swego ohydnego paszkwilu na kościół katolicki, na ojca św., biskupów i duchowieństwo;
2. że protestant, p. Pszczółka, może być wizytatorem szkół katolickich w okręgu katowickim;
3. że ci panowie, co w jakikolwiek sposób okazali niechęć swą do kościoła katolickiego, otrzymali ważniejsze i wpływowsze stanowiska, jak np. pp. Syska, Kłapa, Zajchowski, Zajchowska, Szafran itd. itd., a nawet ordery;
4. że wbrew ustawom obowiązującym usiłuje się znosić szkoły wyznaniowe i zamienić je na symultanne, jak np. w Siemianowicach, w Hajdukach itd.;
5. że robi się trudności przy tradycyjnem prowadzeniu dzieci szkolnych do kościoła w dniach uroczystości parafjalnych;
6. że usuwa się napisy katolickie ze szkół i ruguje się odwieczne pozdrowienie katolickie;
7. że wydaje się okólniki zabraniające dzieciom należenia do orgazacyj religijnych i chodzenia na 40-godzinne nabożeństwo, a ostatnio
8. że w oficjalnych planach szkolnych podziału godzin nauki przedmiotów dla szkół śląskich zmniejsza się wymiar godzin nauki religji z 4 na 2 godziny i tylko pod koniec rozporządzenia wspomina się (w nawiasach!), łącznie ze wzmianką o nadliczbowych godzinach — o „uwzględnieniu zwiększonego wymiaru godzin nauki religji w części górnośląskiej województwa śląskiego“. Z innego ustępu „Gazety Urzędowej” wynika, że w I-szym oddziale szkoły powszechnej już zmniejszono naukę religji z 4 godzin na 3, a w innych oddziałach obowiązują 2 godziny, a tylko na rok 1934/35 „dodatkowo“ jeszcze dalsze 2 godziny. A więc 2 godziny mają być obowiązkowo, 2 zaś dodatkowo, nie, jak dotychczas 4 godziny obowiązkowo (cf. Gaz. Urz. woj. śl. nr. 18 (6) z 1. VI. 1934).

Odpowiedzialność za tę „reformę“ programu nauki religji spada wyłącznie na p. dra Kupczyńskiego, urzędującego zaledwie od kilku miesięcy naczelnika wydziału oświecenia publicznego w Katowicach.

Tak dalej być nie może. Tego powolnego rugowania Chrystusa ze szkoły ludności znosić nie wolno. Nie wolno pozwolić na usuwanie autorytetu bożego (czyli księżego uw. n.) ze szkoły.

Katolicy! Baczność!

Chwila jest poważna!

Chodzi o najświętsze sprawy:

o kościół, o religję, o boga!

A w jednym z następnych artykułów („Kto broni p. Baryckiej“) — po stwierdzeniu, że cała prasa klerykalna potępiła „paszkwil wolnomyślicielsko-bezbożniczy p. Baryckiej“ z wyjątkiem „Wolnomyśliciela polskiego“ i warszawskiego „Głosu nauczycielskiego“, jako organu Zw. Naucz. Polskiego, w którego Zarządzie Głównym grasuje, jak wiadomo, pewna grupka bezbożników i wolnomyślicieli, przeważnie byłych socjałów, udających obecnie „gorliwych prorządowców“ czytamy:

W ostatnim czasie wystąpił w obronie paszkwilu p. Baryckiej tylko jeszcze „Ogniskowiec“, wychodzący w Katowicach, organ Okręgu Śl. Zw. Nauczycielstwa Polskiego.

Niejaki „Decz.“ rozpoczyna na str. 13 w numerze 7/8 „Ogniskowca“ „dantejską wędrówkę po piekle“ (widać, dokąd go ciągnie!); za przewodniczkę bierze sobie p. Barycką (zaiste trudno o lepszy wybór!) i idzie, jak powiada, „rozglądnąć się po krainie czynu“.

Z tego powiedzenia widać, że musi to być jakiś „prorok z Galilei“ (tej małopolskiej, nie „palestyńskiej“), gdzie uparcie mówią wciąż „rozglądnąć się“, zamiast poprawnie popolsku „rozejrzeć się“.

Ów p. Decz, rzuca się zjadliwie i z wściekłością, a z ćwierćinteligentną znajomością rzeczy — na zagraniczne misje katolickie, kpi sobie poprostu: że „z całej Polski płyną obficie miljony zagranicę na murzynów”. Dalej krytykuje ten człowieczek zaprawdę o mentalności chybą nienawróconego jeszcze murzyna (i wśród białych są murzyni o czarnych duszach!) — słowa ojca św. nawołujące katolików, aby do ciał ustawodawczych wybierano mężów szczerze religijnych i odważnych, aż wreszcie, odbywszy swą „piekielną wędrówkę“ pod kierownictwem „baby Jagi“, dochodzi do przekonania, że „należy wyrazić wdzięczność p. Baryckiej“ za jadowity, dyszący nienawiścią do kościoła i księży paszkwil, potępiony zgodnie przez całą zdrowa i uczciwą opinję w Polsce.

P. Decz, wybijający pokłony przed p. Barycką, przed jej „fałszami i oszczerstwami”, przed jej „książką-podrzutkiem”, przed jej „skandalem naukowym“, przed jej niezrównanym wyczynem wolnomyślicielsko-bezbożniczym, jest, o zgrozo, podobnie jak p. Barycka-Zajchowska nauczycielem i wychowawcą dzieci katolickich na Górnym Śląsku. Oto, jak daleko zaszliśmy!... I takie zjawiska, takie oburzające katolików prowokacje, niestety, toleruje się ze strony władz oświatowych. katolickiego szkolnictwa górnośląskiego. P. Barycka dopuściła się w swej książczynie bezprzykładnego „fałszu i oszczer-

stwa“ a „Ogniskowiec” katowicki z pomocą niejakiego „Decz a“ dopuścił się karygodnej, zuchwałej prowokacji uczuć katolickich.

W tymże numerze, w artykule wstępnym woła „Ogniskowiec“ w stronę przeciwników swoich, że postępują „wbrew etyce, niezgodnie z prawami obowiązującemi rzetelnego publicystę“. I któż to mówi o etyce, o rzetelności?... To już nawet chwalcy najbardziej nieetycznych „fałszów i oszustw“ publicystycznych, „książek podrzutków“ i „skandali“ książkowych wydają teraz oceny uczciwości cudzego postępowania? Czy to świat się kończy? Czy też wywraca się naopak? Krytyka kłapowszczyzny, barycczyzny, zajchowszczyzny, krytyka zuchwałych wystąpień i poczynań wolnomyślicielsko-bezbożnych, zdaniem „Ogniskowca“ jest niezgodna z etyką. Ale z jaką etyką—chyba tylko z tą, której próbkę dał świeżo on sam. Zato prowokacja p. „Decz“-a. drwiąca złośliwie z misji katolickich i ze słów ojca św., a wychwalająca paszkwil p. Baryckiej, jest „zgodna” z etyką i rzetelnością publicysty. (?) Takiej „etyki“ i „rzetelności“ powstydziłby się nawet prostaczek, lepszy „od ćwierćinteligenta“.

W związku z prowokacją „Ogniskowca“ — wobec całego społeczeństwa śląskiego i wobec społeczności nauczycielskiej na Śląsku pytamy niniejszem, czy wystąpienie p „Decz“-a w n-rze 7—8 „Ogniskowca“ jest wyrazem jego poglądów osobistych, czy poglądów redakcji i zarządu okręgowego, czy też ogółu nauczycielskiego? Jesteśmy najmocniej przekonani, że ta trzecia możliwość nie wchodzi w rachubę, gdyż w szeregach nauczycielstwa „ogniskowego“ na Śląsku jest dużo katolików nie tylko z metryki i z pozorów, i dużo ludzi światłych, poważnych, dorosłych do piastowania godności nauczyciela polskiego na katolickich kresach zachodnich państwa polskiego.

Ale cóż wy, polscy nauczyciele katoliccy, na prowokacje p. Baryckiej, p. „Decz“-a, „Ogniskowca“ i otaczającej go bezbożnej czeredy?

Czy prowokacyjne wybryki nie rażą waszych sumień katolickich? Wasza bierność i niezdecydowanie do obrony kościoła i wiary na własnym gruncie ułatwiają paszkwilantom grasowanie i podnieca tylko ich zuchwałość.

„Popis“ p. Decz-a w „Ogniskowcu“ jest, naszem zdaniem, odbiciem nastrojów, poglądów i celów tylko małej, zwartej i sprytnej spółki bezbożno-wolnomyślicielskiej, która z narażeniem żywotnych i wielkich interesów państwowych i narodowych na Górnym Śląsku—judzi, mąci, sieje zamęt i wytwarza ferment w społeczeństwie.

Miara cierpliwości katolickiej już przebiera się!

Jeżeli nasze władze wojewódzkie nie zechcą położyć kresu prowokacyjnej, antykatolickiej „działalności publicystycznej“ takich pp. Baryckich-Zajchowskich, Decz-ów i innych zagorzałych bezbożników-wolnomyślicieli; jeżeli nie zechcą uznać, że bezbożnicy zionący nienawiścią do katolicyzmu, w żaden, ale to w żaden sposób nie mogą być nauczycielami szkoły katolickiej i wychowawcami katolickich dzieci — to ogół rodziców katolickich będzie poprostu zmuszony poszukać jasnej i zdecydowanej odpowiedzi, czy może nadal powierzyć swe dzieci katolickie w ręce takich „wychowawców“.

Kto weźmie odpowiedzialność za efekt moralny i smutny rozgłos tej odpowiedzi?

A no, zobaczymy, kto weźmie odpowiedzialność za to, co kler okupacyjny wyrabia na Śląsku.

Na zakończenie dodamy, że władze, widząc na co się zanosi, zakazały urządzania panom z kółkami na łbach dalszych wieców w sprawie ob. Baryckiej.

Zwołany na dzień 4 lipca wielki wiec protestacyjny do Domu katolickiego w Mysłowicach już się nie odbył. Właściwie niepowinny się były odbyć i pierwsze wiece, co nie przeskadza, że ambony i różne „Goście niedzielne" nie przestaną dalej szczuć i judzić ciemnoty przeciwko państwu i oświatowcom postępowym. A że tak jest — niech świadczy przyklaskiwanie kleru akcji zamieniania w nocy napisów „Szkoła powszechna" na „Katolicka szkoła powszechna".

W. K.

Nauczycielstwo walczy o szkołę świecką

(na marginesie Zjazdu Z. N. P.)

Zagadnienie niezależności oświaty od przesądów średniowiecza i stanowych interesów kleru oraz burżuazji jest dosyć popularne wśród nauczycielstwa. Niejednokrotnie były podawane na łamach naszego organu wzmianki kronikarskie lub dłuższe artykuły stwierdzające, że przeważnie wszyscy członkowie Zw. N. P. są to ludzie krytycznie nastawieni do teologicznych wywodów kleru wszechwyznań, a zwłaszcza katolickiego. Jeżeli w prasie związkowej i w enuncjacjach Zarządu głównego stanowisko takie się nie ujawnia, to jedynie ze względów taktycznych, aby zaoszczędzić swym członkom z dzielnic silniej okupowanych przez kler np. Śląsk, Pomorze, przykrości ze strony „apostołów miłości bliźniego". Stanowisko takie wywołuje wśród wielu nauczycieli niezadowolenie. Wyrazem tego niezadowolenia są głosy i uchwały Zjazdów Okręgowych, na których wyraźnie domagano się szkoły świeckiej (Lublin 1930) potępiono książkę Sobolewa i aprobatę kurji arcybiskupiej wileńskiej (Brześć 1934).

Na Zjeździe delegatów Zw. N. P. w 1932 r. jedynie skutkiem niedokładnego obliczania głosów nie przeszedł wniosek w sprawie szkoły świeckiej. Na Zjeździe w 1934 r. wniosek ten przeszedł pomimo sprzeciwów prezydjum i przy dwukrotnem głosowaniu na Komisji wnioskowej Zjazdu Zw. N. P.

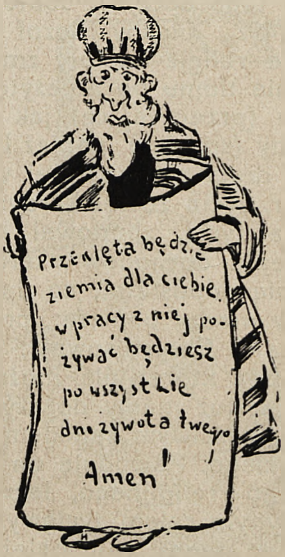
Uchwała, aczkolwiek nie otrzymała większości na plenum, wyraźnie stwierdza, że znaczna część nauczycielstwa polskiego walczy o wyzwolenie Polski i szkoły z pod okupacji duchowej krajowych cudzoziemców, nie przeraża się listami pasterskiemi bożych ... [1]) mężów, ani wyczynami probosz-

[1]) Można wstawić np. wyraz pięciogłoskowy.

czów lub kapłanów, ale pomimo niezawsze życzliwego stosunku na tym odcinku władz szkolnych, gotowe jest do walki o swoje ideały dążeń, wśrod których wolność nauczania i wychowania pierwsze zajmuje miejsce.

Zaznaczyć należy, że uchwały Komisji wnioskowej uchwalane były w momencie, gdy jednocześnie plenum było zdekompletowane, ponieważ w tym samym czasie obradowały Komisje: matki i statutowa, a sam referent, zamiast lojalnie się odnieść do zapadłego postanowienia Komisji wnioskowej, zwalczał je, jak podkreślił, ze względów jedynie taktycznych, twierdząc, że postulat szkoły świeckiej jest tylko kwestją czasu; im dłużej kler będzie Polską rządził, tem upadek jego będzie głębszy i bezpowrotny. Pomimo tych wywodów około 200 delegatów, przeważnie z województw centralnych i wschodnich, opowiedziało się wyraźnie za wprowadzeniem szkoły świeckiej, podstawy do duchowego wyzwolenia Rzeczypospolitej, a układ stosunków na Zjeździe wyraźnie wykazał, że niedaleki jest moment, kiedy Związek Nauczycielstwa Polskiego zagadnienie szkoły świeckiej umieści na pierwszem miejscu swych postulatów

Ślazak



Z treści tego wersesu widać, że już wówczas bóstwo Jehowa przewidziało dzisiejszy kryzys ekonomiczny

Wraz z przezwyciężeniem ustroju społecznego znikną podobne straszenia bóstw.

Filozofja, religja i moralność w czasach włoskiego odrodzenia

(Urywek z „Ilustrowanej Historji Powszechnej dla ludu", Berlin 1882, tom V, str. 64)

Pełen nienawiści ku papiestwu pogląd Macchiavellego (głośny pisarz i mąż stanu włoski żyjący we Florencji od 1469—1527 roku, który napisał znane zdanie „że im bliżej rzymskiego kościoła narody się znajdują, tem mniej posiadają religji") daje nam najtrafniejszy przykład, do jakiego stopnia w owym czasie umysły ludzi wykształconych stały się obcymi dla kościoła i religji. Tak zupełnie rzymski kościół był pogrążony w pustej formalistyce i prostackim zabobonie, że nie potrafił niczego innego ofiarować ku zaspakajaniu głębszych moralnych potrzeb; natomiast starożytny światopogląd w tak wspaniałej szacie prezentował się oczom humanistów, których umysły wogóle nie były podatne dla ideałów religijno-moralnych, że zajął bez walki miejsce światopoglądu chrześcijańskiego w ich umysłach. Florencja stała się siedzibą platońskiej akademji, której uczniowie nie tylko studjowali naukę Platona w celu poznania jej pod względem naukowym, lecz byli również gorliwymi jej wyznawcami, jak np. Pico Mirandola i Wawrzyniec (Lorenzo) Medici (był on głową Florencji i rodacy dali mu nazwę „il Magnifico" t. j. „Wspaniały"), który na śmiertelnem łożu nie chciał odbyć sakramentu pokuty i kazał miast tego odczytać sobie ustęp z dzieła Platona. Zmarł on w r. 1492. Głośny filozof włoski Pomponazzi twierdził, że wszystkie religje zostały zmyślone przez mądrych ludzi w celu wodzenia tłumu po należytej drodze i że są one wszystkie znikome (przemijające) jak wszelkie ludzkie wynalazki — a dowcipny (sprytny) papież Leon X (1513—21, właściwie Jan Medici, drugi syn powyżej wymienionego Wawrzyńca Medici, w 13 r. życia został kardynałem. Prowadził jako papież wystawne życie, zbudował kościół ap. Piotra w Rzymie i dla zwiększenia dochodów skarbu papieskiego handlował na wielką skalę odpustami, co dało powód do wystąpienia Lutra przeciw władzy papieża; prawdziwy syn swego kraju, mówił o „bajce Chrystusowej", w którą się samemu nie wierzy, lecz bez której nie można się obejść z powodu jej intratności. Tu już mamy do czynienia z całkowitym brakiem wiary, co jest właściwym zanikiem większości tych ludzi z odrodzenia włoskiego. Powoduje on wkońcu zupełny zanik nietylko każdego religijnego, lecz także moralnego uczucia i pojęcia, że jedynym celem życiowym jest używanie rozkoszy i odpowiednio do tegoż celu należy prowadzić życie bez krępowania się przepisami moralności. Dlatego ówczesne Włochy wydały z jednej strony owych wytwor-

nych i wykształconych ludzi, którzy jako mistrze dobrego używania życia przodowali wszystkim, z drugiej zaś strony owe potworne postacie, które dla osiągnięcia swych samolubnych celów nie bały się popełniać najwstrętniejszych zbrodni, np. Cezar Borgia (młodszy syn papieża Aleksandra VI, który jako 15-letniego chłopca mianował kardynałem. Był on wyuzdanym rozpustnikiem i potwornym zbrodniarzem. Zamordował nawet własnego brata. Żył tylko 29 lat od roku 1478 — 1507). Nazywanie takich zjawisk antyczno-pogańskiemi, byłoby krzywdzeniem starożytności.

Tak żyli wówczas ludzie wykształceni; warstwy jednak ludowe nie brały żadnego udziału w odrodzeniu włoskiem i odnosiły się do tegoż biernie. Im wystarczał działający na ich zmysły przepych katolickiego kultu, roztopienie wiary chrześcijańskiej w pogańskiem wielbieniu bezlicznych świętych i najniższego rodzaju pojmowanie stosunku ludzi do niebiańskich władz, których przebaczenie i życzliwość można uzyskać za datki pieniężne, ślubowania i ćwiczenia religijne. Tak dalece zupełnie pogański był sposób myślenia ludu, że jeszcze w czasie panowania pobożnego papieża Hadrjana (Adrjana) VI, (1521 — 23) w czasie szerzącej się zarazy ofiarowano byka na całopalenie!

Otto Corvin (Wierzbicki)
przełożył *A. Pf.*



Klucze niebieskie przerabiane są na klucze kasowe

Kronika

ZGON MARJI CURIE-SKŁODOWSKIEJ

W dniu 4 lipca zmarła we Francji pod Valence najsławniejsza z polek, spółodkrywczyni ciał promieniotwórczych radu i polonu, Marja ze Składowskich Curie, laureatka nagrody Nobla. Odkrycie małżonków Piotra i Marji Curie stworzyło nową epokę, dotąd jeszcze niezamkniętą w dziedzinie chemji, i rzuciło nowe światło na budowę materji.

Polska, chcąc zadokumentować swoje uznanie dla zasług naukowych wielkiej rodaczki, przystąpiła przed kilkoma laty do wzniesienia Instytutu radowe w Warszawie przy ulicy Wawelskiej.

Gmach już jest, ale na urządzenie pracowni poza oddziałem medycznym dla leczenia raka — zabrakło pieniędzy.

Gdyby te wszystkie subsydja, jakie banki pąństwowe dały w tym czasie na wzniesienie kościołów, poszły na wykończenie Instytutu radowego im. Marji Curie-Skłodowskiej— zakład ten jużby dawno mógł oddawać nauce i uczonym polskim nieocenione usługi.

To też gotowi jesteśmy pójść o zakład, że prędzej stanie w Warszawie kościół opatrzności, w Gdyni bazylika morska a prócz tego jeszcze kilkanaście innych kościołów, niż zostanie wykończony Instytut radowy, nie mówiąc o tem, że pod Instytut badań astronomicznych im. Mikołaja Kopernika, którego wzniesienie uchwalono w r. 1923 w Toruniu, nie założono nawet fundamentów.

Taki bowiem już nasz kult dla „nauki"... kościelnej.

ODEBRANIE DEBITU NASZEMU PISMU PRZEZ ŁOTWĘ

Władze łotewskie odebrały debit kilku pismom polskim — w tem i „Wolnomyślicielowi polskiemu". Dowodziłoby to, że w rządzie łotewskim znalał się jakiś fanatyczny katolik, bo zaden z protestantów nie złąkłby się tego, o czem piszemy.

ŚWIĘTO MŁODYCH WOLNYCH MYŚLICIELI

Dnia 21 maja r. b. odbyło się w Brukseli doroczne święto młodzieży wolnomyślicielskiej. O godz. 10 rano przez miasto przeszedł ze sztandarami i transparentami wielki pochód młodzieży i dzieci.

Po rozwiązaniu pochodu odbyła się w jednej z sal uroczysta akademja, urozmaicona muzyką i spiewem, podczas której zostały przyjęte do Związku Myśli Wolnej najmłodsze dzieci członków.

Po akademji odbyła się zabawa dzieci.

O MORD RYTUALNY

Gmina żydowska w Katowicach wystąpiła na drogę sądową przeciwko Edwardowi Chowańskiemu, redaktorowi „Błyskawicy", organu wiśniowych koszul, za to, iż zarzucił żydom uprawianie mordów rytualnych. Sąd, po wysłuchaniu biegłych, w osobach ks. Archutowskiego i rabina Schorra, skazał Chowańskiego na 9 miesięcy więzienia z zawieszeniem kary na 3 lata i na 200 zł. grzywny na rzecz gminy żydowskiej.

MAJĄ CZELNOŚĆ

Proboszcz parafji katolickiej Panny Marji w Katowicach zwrócił się nistąd-nizowąd do sądu o przyznanie na rzecz jego parafji kościoła gminy starokatolickiej przy ul. Mickiewicza, który gmina ta wybudowała przed 70 laty. Po stwierdzeniu, że w księgach hipotecznych kościół ten figuruje, jako własność gminy starokatolickiej, sąd czelną pretensję zuchwałego watykańczyka oddalił.

NIE UDAŁO SIĘ

Prasa klerykalna podniosła przed niedawnym czasem jako wielki sukces propagandy katolickiej nadanie do Ameryki przez radjo-kruchtę warszawską nabożeństwa z Jasnej Góry. Wydrukowano nawet jakieś ciemne depesze, dziękujące dyrekcji Polskiego Radja za świetną audycję. Tymczasem, jak czytamy w „Ameryka-Echu", Toledo, audycja była tylko jednem wyciem, które rozdzierało uszy.

POWRÓT NA JUDAIZM

Od wielu lat na Nowym Świecie lub w sąsiednich ulicach uprawiał żebractwo stary, brodaty, mocno przygarbiony skrzypek, który rzępolił besmyślnie tylko w tym celu, aby zwrócić na siebie uwagę. Obecnie żebrak ten, Jan Buda, zgłosił się do rabinatu z prośbą, aby przyjęto go z powrotem na łono judaizmu. Buda liczy dziś 101 lat. Jako żyd, wzięty był za czasów rosyjskich do wojska, gdzie przesłużył 25 lat. Po śmierci żony, w r. 1921, Buda znalazł się bez środków do życia i wówczas rozpoczął proceder żebraczy i przyjął katolicyzm. Przez szereg lat było to dość dochodowe rzemiosło. Obecnie, gdy jako starzec poczuł się źle, postanowił powrócić do judaizmu i przyjął dawne swe imię Joska.

Od tego czasu już na Nowym Świecie nie rzępoli.

ZYTKI POD KURATELĄ

Związek chrześcijańskiej służby domowej w Warszawie, pozostający pod patronatem ks. Gąsiorowskiego, został w maju rozwiązany przez władze z powodu ujawnionych nadużyć na szkodę członkiń. Zbadaniem gospodarki ks. Gąsiorowskiego zajęły się władze śledcze. Nad majątkiem związku władze ustanowiły kuratora.

O WYNAGRODZENIA ZA NAUKĘ RELIGJI.

Ponieważ w wielu szkołach, zwłaszcza na prowincji, katecheci nie przychodzą miesiącami na naukę religji, ale za to bardzo systematycznie i skrupulatnie zgłaszają się każdego pierwszego po odbiór pensji — Ministerstwo W. R. i O. P., nie chcąc pozwolić na dalsze jawne okradanie skarbu państwa, poleciło kuratorom potrącać katechetom z pensji po zł. 1.50 za każdą godzinę wykładową, opuszczoną bez usprawiedliwionego powodu. Do tych powodów należą: choroba, trwająca dłużej niż miesiąc, eksportacja zwłok, wyjazd do chorego lub odprawianie nabożeństw w t. zw. święta zniesione.

Z tego powodu w prasie księżej wrzask taki, aż uszy puchną. Kieszeń, jak wiemy, jest najczulszem miejscem w systemie nerwowym każdego wyświęcanego chciwca-materjalisty, bredzącego zawodowo o nieistniejącym świecie „idealnym" poza grobem. Zjawisko to można obserwować, poczynając od wikarego, a skończywszy na papieżu.

DLACZEGO NIE DO CZĘSTOCHOWY LUB DO LOURDES?

KAPra doniosła, że kardynał Kakowski wyjechał na kurację do Karlsbadu. Widocznie sama rozmowa z rabinami o ob. Jabłońskim i wolnych myślicielach tak musiała kardynała usposobić nieufnie do katolickich miejsc cudami słynących, że wolał pojechać leczyć się do heretyków-czechów, aniżeli udać się z paralitykami do Częstochowy lub do Lourdes. Gdyby był pojechał do tych miejsc na kurację, byłoby to większą dla nich reklamą, aniżeli publikowanie w prasie, ile to w Lourdes było w r. ub. „cudownych" uzdrowień, potwierdzonych przez 592 lekarzy różnych narodowości.

POD PATRONATEM CZĘSTOCHOWSKIEJ

Przed przystąpieniem do bicia i zabijania żydów oraz wybijania szyb w niemiłych sobie lokalach, narowcy urządzili w maju zbiorową wycieczkę na Jasną Górę i uznali uroczyście za swoją patronkę t. zw. matkę boską częstochowską. Wycieczce patronował „najprzewielebniejszy episkopat". Przed wyjazdem uczestnicy uzyskali specjalne błogosławieństwo biskupie i odśpiewali „Serdeczna matko", a na dworcu kolejowym wznosili okrzyki: „Precz z rządem!" Takim to właśnie imprezom patronuje „najprzewielebniejszy episkopat", biorący pensje ze skarbu państwa [1]).

ZA CO ARESZTUJĄ I TRZYMAJĄ W WIĘZIENIU?

Piszą nam z Gorlic: Dnia 28 kwietnia r. b. został aresztowany w Gorlicach niejaki Władysław Wójcikiewicz za to, że uderzył w twarz na ulicy młodego kleryka Cyconia za obrazę narzeczonej, którą Cycoń wyrzucił z kościoła, ponieważ podczas jakiegoś ślubu uśmiechnęła się do swego narzeczonego.

---

[1]) W chwili, gdy to piszemy, władze rozwiązały obóz narod.-rad.

Zniewaga publiczna tak świętej osoby jak kleryk katolicki, rozjadła kler gorlicki do tego stopnia, iż na kazaniach o niczem innem nie mówili, jeno o tem świętokradztwie i innych intencyj modlitewnych nie nakazywali, jeno przebłaganie obrażonych niebios za zniewagę ich sługi, Cyconia, kleryka z pierwszego roku studjów teologicznych. A teologja jak wiadomo, też jest „świętą". Ponieważ Wójcikiewicz pozostał na wolności, kurja biskupia zwróciła się do władz administracyjnych i sądowych, o zadośćuczynienie obrażonemu niebu czyli opinji katolickiej w Gorlicach. To oczywiście poskutkowało i Wójcikiewicza aresztowano i osadzono w więzieniu pod zarzutem przestępstwa z art. 133 punkt 2 K. K. (czynnej napaści na duchownego, uznanego prawnie wyznania lub związku religijnego podczas lub spowodu pełnienia przez niego obowiązków służby lub powołania), za co grozi kara więzienia do 5 lat.

Niebo tak się jednak postępkiem Wójcikiewicza przejęło, że gdy W. rodzice ludzie b. pobożni zwrócili się do gorlickiego proboszcza, ks. Litwina o pomoc i polubowne załatwienie sprawy, pan ten mający stale konszachty z niebem, nietylko ich nie przyjął, ale kazał jeszcze ich wyprosić z kancelarji domu parafjalnego, do którego powstania rodzice W. dużo się przyczynili.

ZGON MJRA CIEPICHAŁŁA

W dn. 13 czerwca br. zmarł w W-wie major Henryk Ciepichałł. Major Ciepichałł był od 1915 r. kapelanem b. 1 p. p. Leg. Polskich.

W 1917 r. w czasie kryzysu przysięgowego został przez niemców internowany w Benjaminowie. W w. p. był dziekanem wojskowym w D. O. K. Lublin, a później w Warszawie. W tym czasie prowadził zażartą walkę z „władzami duchownemi", które domagały się od niego, by więcej kochał „chytrego włocha" w Rzymie niż własną ojczyznę. Ciepichałł wybrał to ostatnie; w 1924 r. zrzucił sutannę i został zawodowym oficerem w stopniu majora, za co go biskup polowy wyklął. W parę lat potem (1928/29), żeniąc się, przyjął ewengielicyzm.

Stefan Wisz, tow. broni

KORONOWANE DEWOTKI

Królowa belgijska Astrid i królowa wdowa złożyły hojną ofiarę w złocie i w drogich kamieniach na koronację obrazu „matki boskiej' w Alsemberg koło Brukseli. Koronacja ma się odbyć w najbliższym czasle w obecności obu ukoronowanych dewotek.

Z prasy

Napiętnowanie łajdactwa

Ob. W. Rzymowski, zamieścił w *„Kurjerze Porannym"* z d. 29. VI artykuł p. t. „Ostrożnie z posądzeniami" w którym piętnuje „objawione" oszczerstwa niedzielnego kaznodziei „Kurjera warszawskiego", rzucone na nas i które nawet czytelników tego nekrolowego organu oburzyły.

W. R. pisze:

W chwili, gdy śledztwo sądowe trwa, gdy ogół opinji polskiej w spokoju i równowadze nerwów czeka ostatecznego wyjaśnienia krwawej i tragicznej zagadki, jeden tylko znalazł się w Polsce człowiek, który, nie czekając na wyniki śledztwa a przeto poniekąd myląc jego drogi, postanowił zgóry, mocą proroczego objawienia, wskazać środowisko, z którego padły strzały mordercze, wymierzone w osobę ministra spraw wewnętrznych, a godzące w godność i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej. Człowiekiem tym jest słynny kaznodzieja „Kurjera Warszawskiego" ks. Zygmunt Choromański.

Zacytowawszy znaną już naszym czytelnikom inwektywę tego wyświęconego kandydata na papieża o „posiewie wszelkiej zbrodni"... W. R. opatruje ją następującą uwagą:

Czyż może być jakakolwiek wątpliwość co do charakteru oraz intencji tego rodzaju oskarżenia, rzuconego w oparach krwi, świeżo przelanej ręką zbrodniarza?

Ks. Choromański nie poprzestaje wszakże na wyrażeniu swej pobożnej intencji i w ostatniem zdaniu raz jeszcze macza swe pióro w krwi, przelanej przez mordercę, aby uczynić z niej narzędzie pomsty i kary na obóz wolnomyślicielski.

Co sądzić o etyce tego niesłychanego wystąpienia? (p. n.).

Scharakteryzowawszy w krótkości i niezbyt, powiedzmy, ściśle nasz ruch, autor zapytuje:

czyż wolno na tych ludzi bryzgać krwią, ociekającą z kul najpotworniejszej zbrodni? Czy wolno na ich szyje zarzucać pętlice uwite z kłamliwych, urojonych podejrzeń i wlec przed trybunał podżeganej opinji?

A dalej:

Narzucanie przez ks. Choromańskiego wolnomyślicielom udziału w odpowiedzialności za akcje terorystyczne jest rzeczą brzydką pod względem moralnym, szkodliwą zaś dla kościoła katolickiego pod względem politycznym.

Jest rzeczą moralnie brzydką, gdyż wypływa z pobudek czysto konkurencyjnych i rzecz można, że wkracza w sferę konkurencji nieuczciwej. Proboszczowie parafjalni mają pełne prawo walczyć o swe pozycje dochodowe, jak każda inna korporacja społeczna. Ale w walce tej niewolno im na szalę swego korporacyjnego interesu rzucać krwi zamordowanego ministra.

Będąc rzeczą niemoralną, oskarżycielstwo ks. Choromańskiego jest jednocześnie aktem szczególnej nieprzezorności politycznej. Mimowoli bowiem prowokuje ono wolnomyślicieli do wywołania z przeszłości widm, które nie mogą być dla ks. Choromańskiego i dla dziennika, w którym ustawił swą ambonę, miłe.

Widmom tym na imię: Macoch i Niewiadomski. Czyż warto te osobistości ponownie wyciągać na scenę, aby dowieść, że zbrodnie, które ich ręce splamiły, zrodziły się w środowiskach, które z „wolną myślą“ nie miały nic wspólnego?

Pocóż więc wywoływać wilka z lasu? Czyżby ks. Choromański nie wiedział, za co O. Rejman, przeor Paulinów na Jasnej Górze, skazany został przez papieża na dożywotnie osiedlenie w Rzymie? O ile nam wiadomo, grzesznik ten nie był nigdy prezesem Stowarzyszenia Wolnej Myśli [1]).

Z książek

Próba nowego wyznania

Karol Grycz-Smiłowski. *„Z ZIEMI ŚWIĘTEJ“. „NOWOCZESNE WIERZĘ“*. Kraków. 1934, str. 264, cena zł. 5. Do nabycia u autora, konto czek.w P. K. O. nr. 412-936.

Autor tej książki był przez 25 lat księdzem ewangelickim (luterańskim), ostatnio kapelanem wojskowym w randze podpułkownika. Posiada wyształcenie uniwersyteckie i rozległą wiedzę. Rozczarowawszy się do kościoła chrześcijańskiego, złożył swój urząd, aby nie być obłudnikiem i żyć w zgodzie ze swemi przekonaniami i sumieniem.

Pod wpływem budzącego się w nim zwątpienia co do prawdziwości zasad wiary, odbył podróż do Palestyny i zwiedził wszystkie t. zw. „miejsca święte“, wymienione w Nowym testamencie, aby się przekonać, czy jego wątpliwości są słuszne, czy niesłuszne. Wiemy już, do jakiego doszedł przeświadczenia. Ta podróż była jego „rozmyślaniem na pustyni“ i potwierdziła tylko jego wątpliwości.

Opisując różne miejscowości Palestyny, autor na tle tych opisów przeprowadza oryginalną krytykę wierzeń, poglądów i „nauk“ kościołów chrześcijańskich. Krytyka ta oparta jest całkowicie na podstawie nowoczesnej wiedzy świeckiej, choć autor stoi nadal na stanowisku historyczności Jezusa, jako człowieka-filozofa, teologa i mistyka. Ale nie to jest najznamienniejszym rysem jego książki. W pracy swej przeprowadza on dość przekonywająco tezę, że religja, wyznawana przez Jezusa, była w zasadzie monizmem i że tak tylko rozumiał „bóstwo“ np. apostoł Paweł.

W rezultacie autor nawiązuje do poglądów arjan—Braci polskich i na tym podłożu daje zarys „wiary naukowej“, bez księży i kościołów z pozostawieniem jedynie — jako tradycyjnych symbolów (tak jak je miał rozumieć Jezus i pierwsi chrześcijanie): boga Ojca — ducha wszechświata, Jezusa —

---

[1]) Takich osiedlonych przymusowo i dożywotnio w Rzymie wyświęcanych panów jest znacznie więcej. Nawet z samej Polski.

ideału człowieka, świąt chrześcijańskich, jako filozoficznych uroczystości symbolicznych dla uczczenia pamiątek historycznych, wspomnienia mitów, myśli o duchowej nieśmiertelności, zjednoczenia człowieka i ludzkości z bogiem-duchem wszechświata. Jak widzimy, jest tu również dużo z buddyzmu. Religję autor właściwie rozumie, — jako metafizykę; społeczność religijną, — jako zbiorowość pracy społecznej; modlitwę, — jako wpływanie na członków nowej „wiary“ w kierunku dążeń do udoskonalenia się.

Uważając, iż na miejsce odrzuconych wierzeń kościelnych należy dać ludowi coś, co zastąpiłoby wytworzoną „pustkę“, autor pozostawia dziesięcioro przykazań, symboliczną modlitwę „ojcze nasz“, chrzest, — jako podnietę do wypełnienia powołania wychowawczego, uroczystość zawarcia małżeństwa — jako najgłębsze urzeczywistnienie miłości bliźniego, zmierzającej do realizowania nieśmiertelności, „wieczerzę pańską“, — jako wezwanie do poświęcenia siebie z najwyższą miłością dla innych.

Credo autora brzmi: „Wierzę w Boga Ojca, Ducha Wszechświata; przez Chrystusa Człowieka wierzę w człowieka, wierzę w zjednoczenie człowieka i ludzkości z Bogiem“.

Pomijając rzeczy naiwne, zbytnie uproszczenia i niejasności, książka Grycz-Smiłowskiego stanowi ciekawe połączenie całkowicie naukowej myśli wolnej z tradycyjną symbolistyką chrześcijaństwa z pewnemi nałogami obrzędowca.

Dodamy, iż jeśli stanąć nawet na stanowisku, że Jezus wogóle nie istniał, to symbolistyka autora wcale się nie zmieni; nie będzie jedynie opierała się na faktach, które rzekomo miały miejsce, a na mitach, w które ludzkość wierzyła w ciągu wieków.

Jeśli nawet uznać pracę Grycz-Smiłowskiego za pozbawioną praktycznego znaczenia — to z punktu widzenia filozoficzno-literackiego książka jego jest bardzo interesująca i może być przeczytana z przyjemnością.

J. L.

Głosy czytelników

Z rzeszowskiego błotka klerykalnego!

We wsi Budziewoju duszpasterz ks. Sieradzki uczy religji w szkole powszechnej. Na okólniku kurat. lwow., zakazującym bezwarunkowo chłosty cielesnej, tenże przykładny pedagog-wychowawca dopisał własnoręcznie (w myśl chrześcij. dogmatu: „Rózgą dziateczki duch św. bić każe“) następującą sentencję dydaktyczną: *„Biłem, biję i bić będę, bo nic mnie nie ob-*

chodzą takie zakazy". A ponoś sam Jezus głosił ongiś w ewangielji słowa miłości dla dziatwy i zakazał krzywdzić małe pacholęta, mówiąc: gdybyście kiedykolwiek skrzywdzili jedno z nich, tobyście mnie krzywdę wyrządzili". A dalej woła do swych apostołów na ten temat: „Lepiej by takiemu (siepaczowi) było, gdyby mu uwiązano kamień młyński do szyi jego i zatopiono go w głębokościach morskich". Ale ks. S. niepomny tych ostrzeżeń, wali pałą biedne chłopskie dzieci... bez żadnego miłosierdzia.

We wsi Zgłobień, gdzie proboszczuje niejaki ks. Bol. Boczar, wikarym jest ks. Bron. Guzowski, który też uczy religji w szkole. Wszczyna on awantury z nauczycielstwem, usuwa w doły godła państwowe i portrety pierwszych dostojników państwa. Umieściwszy zaś portret marszałka Piłsudskiego tuż nad podłogą, zawiesza nad głową olbrzymi krzyż wołając do parafjan: „Ten Piłsudski nadźwigał się już tyle krzyży w swem życiu, że i ten jeden też mu nie zaszkodzi". Ten watykański gagatek podburzył dewotki i zelatorów zgłobieńskich, wtargnął do klasy podczas nauki, ordynarnie zwymyślał władze państwowe, ostentacyjnie zrzucił mały krucyfiks wiszący nad godłem państwowem (które zerwał ze ściany i na to miejsce własnoręcznie zawiesił olbrzymi „krzyż cudowny"). Nadmieniam, że izba szkolna, mieszcząca się w chacie wiejskiej, ma wysokości zaledwie 2 metry. Energiczny inspektor p. Tomanek (o którym „Wolnomyśliciel" już parękroć wspominał) po przeprowadzeniu drobiazgowego śledztwa zwolnił czupurnego i jurnego watykańskiego katechiźmiarza od nauczania religji w szkole.

Za to endecka brukówka t. zw. „Ziemia rzeszowska" w Nr. 25 z 22.VI r. b. napadła na dzielnego inspektora, pytając: „Czy takie postępowanie inspektora możliwem było by w czasach austrjackich, gdy dekrety podpisywał starosta? Nigdy, przenigdy!

Pismak endecki nawołuje dalej w tymże denuncjanckim paszkwilu nietylko „zainteresowanych rodziców tejże gminy, ale cały powiat, by wszczął poważną akcję, aby się coś podobnego nie powtórzyło".

Autor (najprawdopodobniej w sutannie) postępek inspektora nazywa „zakatarzeniem" — wedle „witza" bisk. Adamskiego (vide J. Barycka).

Jeszcze jeden kwiatek „zakatarzenia" — ale... wśród czarnej mafji. W miasteczku Sokołów (pow. Kolbuszowa, obw. szkol. Rzeszów) wikary zwie się Mikołajczyk, a katecheta Przybylski. Obaj ci jurni celibatarjusze zakochali się w pewnej nadobnej dziewoi. Zamiast użyć kodeksu Boziewicza, pobili się na... pięści, przyczem jeden drugiego pokrajał nożem (dosłownie) po poświęcanej buzi. I dziwią się później, że inspektor zwalnia takich ulicznikow ze stanowisk zawodowych umoralniaczy dziatwy szkolnej.

Juljan Grom

OD ADMINISTRACJI

Czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci. Kto zalega z bieżącą zapłatą winien bezzwłocznie uregulować należność.

Wstrzymanie zapłaty podrywa byt wydawnictwa.

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

REDAKCJA—Posiew zbrodni i łajdactwa. LEO BELMONT—Ostatni sąd nad narodami w Armagieddonie. ŁUKASZ SZREŃSKI—O sprawach tylko w Klechistanie możliwych. Kongres M. U. W. Wniosek polskich wolnomyślicieli na Kongres w Barcelonie. Zjazd delegatów Z. N. P. Kronika. Z prasy.

PRENUMERATA WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO:
(łącznie z „Błyskami wolnomyślicielskiemi")

rocznie	zł. 20.00	miesięcznie zł. 1.75
półrocznie	„ 10.00	numer pojedynczy 60 gr.
kwartalnie	„ 5.00	zagranicą 25 zł. rocznie

PRENUMERATA „BŁYSKÓW" (bez „Wolnomyśliciela Polskiego")

Za 1 egz.	rocznie	zł. 1.20		Za 10 egz.	rocznie	zł. 9.00
„ 5 „	„	„ 5.00		„ 10 „	półrocznie	„ 4.50
„ 5 „	półrocznie	2.50		„ 10 „	kwartalnie	„ 2.25

10 egzemplarzy zagranicą zł. 14.— rocznie

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czek. P. K. O. 14.200.

Redaktor **Józef Wroński**, Wyd.: **„Wolność" sp. z o. o.**

Druk L. Wolnicki, Długa 46.